



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

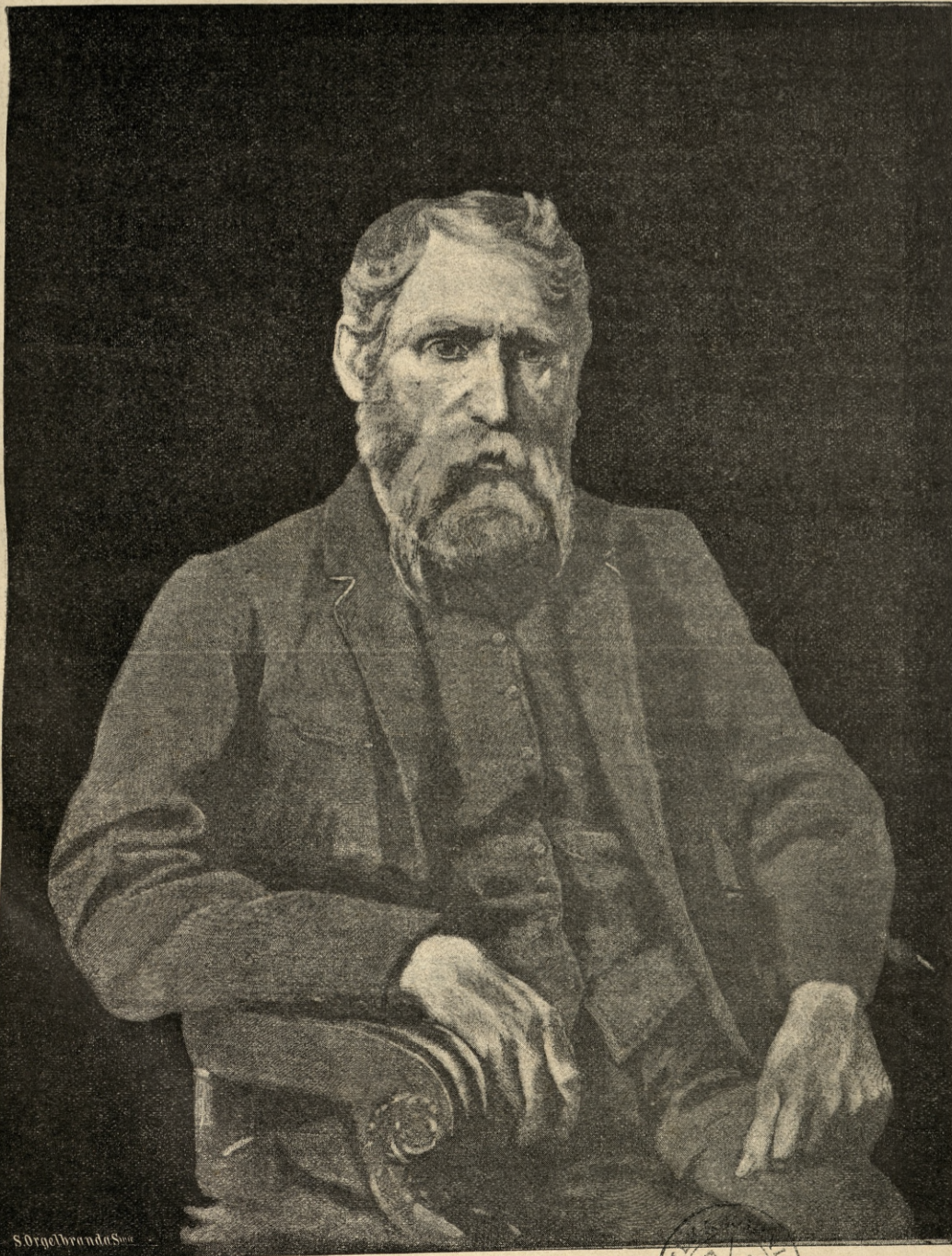
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

El...y

Miał słuchaczów serca za piedestał...  
El...y.

Wśród szczerego, gorącego echa, jakim w całym kraju rozszedł się obchód jubileuszowy naszego wielkiego poety Adama Asnyka, zanim czytelnikom „Bluszczu” działalność jego jako dramaturga skreśli pierwszorzędné pióro krytyka, niechaj mi wolno będzie hołd oddać El...emu jako—Lirykowi, tak serdecznie uwielbianemu przez całe nasze współczesne pokolenie. I nie dziw. Nie ma, zdaje się, struny psychicznej, którejby nie dotknął, nie poruszył, nie wydobył, nie obudził, nie szarpnął gdy trzeba; a wiedząc z własnych, ludzkich doświadczeń, że „w marzeniach serca leży dziwna siła,” grał na tym przedziwnym instrumencie tak wymownie, że go zrozumieli i wybredni znawcy, i smutni, i gorzcy i weseli, i prości duchem, umiejący kochać tylko i cierpieć, a nieznający słów dla wyrażenia całej pieśni uczuć własnych. Z natury bezmiernie wrażliwy na każde drgnięcie ducha, na każ-



Adam Asnyk

dy objaw przyrody, na każdy błysk wiedzy i sztuki, zarazem poetyczny człowiek i ludzki poeta, pragnął zawsze mieć poezję pośredniczką pomiędzy ostatecznościami krańcowymi rzeczywistości i ideału, jednoczącą w sobie wzniosłość celów z warunkami możliwych do niej dróg. Ten harmonijny węzeł przestrzegany ściśle w sztuce, nie dał nigdy mistrzowskiemu Lirykowi popaść w przesadę, w chorobliwą egzaltację, w mdłe rozmarzenie, w orgię zmysłowości lub bezowocny pesymizm, lecz odczuwając wszystkie współczesne prądy, czy to wielkim ciągnące gościńcem, czy kryjące się w dusz tajnikach jak drobne atomy wzruszeń, w tym ogromnym szeregu swych lirycznych utworów zestawił — całość duszy człowieka, łamiącej się z głównego ogniska na tysiące różnobarwnych blasków i odcieni. Liryk z urodzenia, obdarzony, że tak powiem, lirycznym subtelnym słuchem i wzrokiem, osobnym zmysłem chwytającym w jednym promieniu prawd ściślejszych—ulotną duszę piosenki, która lekka, eteryczna, powiewna niby, nie rozmija się przecie nigdy z faktami życia, natury, naukowej teorii lub społecznego zagadnienia. I dlatego też może piosenki Elego choćby te najdrobniejsze, najkrótsze, nie wiedną

681434/1897

w pamięci czytelnika, nie opadają jak inne utwory ulotne poetów niby liście jesienne, nie dają się zastąpić nowymi, bo ogół do nich powraca jako do źródła, do pierwowzoru tego rodzaju. I jakże nie było mu zostać lirykiem, kiedy „od kolebki biegła za nim czarodziejska baśń tęczowa. I szeptała wciąż do ucha melodyjne zaklęcie słowa!”

„I rosła razem z poetą, niosąc go w cudowne światy uczuć i wrażeń, w krainy kędy „każdy głaz ma duszę,” a choć serce się tam porani, choć ginie się z tęsknoty za ukochanym celem, dążyć tam trzeba na przebój —

Bo najlepsza cząstka życia  
W takiej walce i pogoni!  
Warto choćby widzieć z dala  
Ów zaklęty gmach z kryształu,  
Warto płacąc krwią i bólem  
Wejść w krainę ideału!

Tej cudnej krainy nie opuszcza liryk ani na krok, lecz nie przebiega jej stopą tylko ducha, ale stąpa w niej jak człowiek, walczy, zwodzi się, kocha i nienawidzi, sądzi i marzy, tęskni i zwycięża, wpada w zachwyty i w ironię, zapada w głąb żalu lub buja swobodny, — wszystkie te stany jednak, są u Elego naturalne, zdrowe, świadome swej przyczyny, przewidujące skutek swój, proste w zasadzie a w drobiazgach subtelne, codzienne w objawach życiowych a wysoko estetyczne, przystępne w odczuciu dla każdej duszy a możliwe do ujęcia i wysłowienia tylko przez tak potężny talent jak Asnyka. Każdy odcień liryki postawił Ely na silnej podstawie, każdą jej strunę naciągnął tak, żeby pod uderzeniem pieśni ani nie pękła przeciągnięta w sferę dramatyczności patetycznej, ani też nie stała się kwileniem niedojrzałej w sobie istoty, — piosnki te zawsze płyną z piersi tkliwej, namiętnej, rozkochanej lub rozżalanej, tęskniącej lub gniewnej, ale — silnej, pełnej, odpornej, i choć są w nich łzy i piołuny, pieszczoty lub złorzeczenia, niema nigdy zarasków złego, chorobliwych bakterii, maniery, przesad, naciągania, nic z tego, czem mierniejsze talenta dopełniają miary swych przyrodzonych zdolności. Każdy pierwiastek liryki Elego jest normalny, niewykrzywiony, dlatego niewątpliwie tak błyszczy swą prawidłową krystalizacją w poezji... Miłość, którą poeta tak wysoko postawił w swych utworach, którą wielbi „jak słońce” miłość — powiada

...jest piękną bez wątpienia rzeczą,  
I ma w poezji stare jak świat prawa —  
Lecz trzeba żeby miała twarz człowieczą,  
Żeby tryskała życiem jej postawa —

a natchnienie, ma czerpiąc w życia źródła „ukazywać nową piękną stronę” i podnosząc

— wszystkie ludzkie cele,  
Zdrowe pragnienia budzić w zdrowym ciele.

Nadzieję, tę pocieszycielkę tęskniących, chce mieć Ely —

...nie tę lichą, marną,  
Co rdzeń spruchniały w wątły kwiat ubiera,  
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno  
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

A odwagę zaleca —

nie tę jednodniową,  
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,  
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową  
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska. —

A ironia nie ma być jako gra w piłkę przyjemna i łatwa, „w której dużo utartych wyrażań cynizmu,” lecz ubrana w „wdzięk osobny” ma wielką piękność w swym „bolesnym zgrzycie...”

...gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności  
„I śmiechem godzi dwie ostateczności.”

Jak świat ducha, tak i świat przyrody, kwiaty, drzewa, morze, góry, noc, burza, ślota, pogoda, wszystkie przemiany natury maluje liryk z prostotą, prawdą i wykwinnym zamiłowaniem w każdym żdźble piękna, które widzi i odczuwa, które dla niego jest symbolem poruszeń wewnętrznych człowieka, i ten tajemniczy węzeł łączący martwą bryłę materii z świadomą sobie siłą psychiczną umie Ely nawiązywać w najodleglejszych od siebie stosunkach jak w „Mgławicach,” w „Kwiecie paproci” lub w owem arcydziełku liryki „Kamień” gdzie duch i głaz ścierają się w zagadkowej głębinie bytu...

Tam gdzie się boleść zaczyna  
Bezwiednej martwości kres,  
A nad nią boska kraina  
Gdzie miłość wykwita z łez.  
Przez wszystkie śmierci ogniwa  
Postępu ciągnie się nic —  
Ból samowiedzę zdobywa,  
Chcę cierpieć, kochać i żyć!

Wszystkim tym wrażeniom, wzruszeniom, uczuciom, westchnieniom, towarzyszy samoistna, całkiem osobliwa forma liryczna, której twórcą w literaturze naszej jest Ely, pierwowzorów nie miał, bo choć lirykę mieliśmy przed nim doskonałą i wielką duchem, lecz pod względem tej drobiazgowej, cyzelowanej po jubilersku, dutowanej osobnym kunsztem mistrza formy, Asnyk w swoich czterech tomach piosnek stworzył nową epokę liryki. Skala form tych sięga od najprostszej piosenki ludowej, w której „smutno jest dębowi,” w której „ptaszek się ludziom dziwuje, że najmędrzy z nich nie wie, gdzie się szczęście znajduje,” w której dziewczyna „daje na mszę sznur koralu, niechaj Pan Bóg go ocali, matulu!” dalej przeskakuje rytm w wesołą, światową pieśń miłosną, w scherzo, przelewa się w serenadę, balladę, odę, legendę, baśń; ścina się w sonet, stanę, oktawę, tercynę, triolet, tren; z łąk i wiejskiego smugu, podnosi się ku wyżynom Olimpu, krystalizuje się w pyszne strofy przed „Odlamem Psyche Praksytelesa” i jest raz prostą piosenką w bławatkowej switce zakwitającą na miedzy między ludzkimi radościami i smutkiem, raz świetną błyskawicą poezji „nad głębiami” ducha niosącą grom ludzkich losów, wydarzeń i prawd na wielkim rozdrożu życia i śmierci.

Pod względem ducha i formy niezrównanego mamy liryka przewyższającego o całe czło, niemieckiego „mistrza-szydercę,” przewyższającego go o całą skalę — serca, wiary, czci ideałów i istotnej życiowej prawdy. Heine mógł powiedzieć sobie na końcu: „zatrute są pieśni moje,” boć przelewając ciągle naprzemian piołun, męty, wzdargę i morfinę zmysłowości, nie postawiwszy sobie żadnego ołtarza, nie będąc ani kapłanem ani wyznawcą czegośkolwiek prócz chwilowego wrażenia, stał się półbogiem formy lirycznej w swej literaturze — ale nie był w niej tytanem żadnej wzniosłej idei. Z pod jego ręki nigdyby nie wyszła strofa:

Ucisz się serce! swoich strat  
Już nie oplakuj stroskane;  
Ale wschodzący pozdrów świat  
I jego jutrznie różane.  
Pozdrów pokoleń przyszły ród,  
Ich myśli, pragnienia, cele,  
Kwiat nowych uczuć, nowych cnót,  
Na naszym wzrosły popiele!

Ale bo też nasz Liryk jest rodem z krainy miłości, wiary i poświęceń, korzenie jego poezji tkwią głęboko w rodzinnym, swojskim gruncie, a kwiaty poją się słońcem i powietrzem, którym się żywi bratnie mu społeczeństwo; tamten liryk był dzieckiem nienawiści, zwątpienia i kosmopolityzmu, przeflancowywał się bez trudu na obcą glebę, a natchnienia chwycił nietylko z wszechświata, ale z ziejącej bezdenną neutralnością nirwany, więc z bólem wyznać mu przyszło, że pieśni mu się zatrąły... Ely „mając za piedestał — serce” znalazł słuchaczy wiernych i — serdecznych, a nie jedynie — wielbicieli, do tego posiada rzadko zdarzający się dualizm: wielkiego poety i sympatycznego człowieka.

Szczęśno.

# POGAWĘDKA.

Zaczęliśmy więc rok nowy 1897; od nowego wieku oddziela nas lat trzy tylko, czas tak krótki, że ani spostrzeżemy jak zbiegnie, jak zatrzymamy się nad ogromną mogiłą stulecia i sąd o nieboszczyku wydamy.

Bądź co bądź, wiek dziewiętnasty będzie ciekawym wiekiem: W dziedzinie nauk i odkryć zapisze się wielkimi zgłoskami sztuki piękne: poezya, malarstwo i muzyka odzywały się słowami zapału, doskonałością barw i linii, i potęgą tonów; pojęcia humanitarne szersze zakreśliły koło, równość stanów znalazła także pełny swój wyraz, walka o prawa kobiety niejedną potężną szczerb w starym murze urzędzeń społecznych zrobiła. Mimo tych wszystkich jednak jasnych stron są i punkty szare i nierozproszone dotąd ciemności. Wiele pięknych idei tuliła się tylko w umysłach ludzkich, unosząc się nad ziemią jak błyski gwiazd, na ziemię jeszcze nie spadłych; niejedna zagadka rozwiązana nie została; niejedna brud nie starty, krzywda niewynadgrodzona, nie spełnione życzenie; może nawet nie wiele łez wdzięczności na grób ten padnie, nie wiele błogosławieństwa popłynie.—Ale to trudno!—wiek bieżący — czy dobiegający do swojego kresu, pod wielu względami będzie wiekiem kształtowania się różnych pojęć, które w ciału oblecze nieznaną jeszcze następcę. Dopływaj więc, wieku, na rozwiniętych żaglach do kresu swoich przeznaczeń. Jakimkolwiek będziesz nikt ci nie odmówi wielkości!

Tymczasem skończył rok stary... skończył cicho, poważnie. Narodziny nowego obchodzone były także z niebywałym dotąd spokojem; nie dzwoniły nigdzie kielichy, toasty nie brzmiały, szal płasów głów ani sere nie zawracał. Tradycyjny wieczór Sylwestrowy minął niepostrzeżenie, łączono się w małym kółku przyjaciół i rodziny, a po wybiciu godziny dwunastej, z dziwną powagą wyszeptano życzenia — szczęścia.

Może i lepiej, że bez hałasu i fanfary przyjęto nowonarodzonego. Dla mnie, osobiście, było to dowodem zmęczenia umysłów, spojrzeniem w przyszłość poważniej niż dotąd, zastanowieniem mężkiem na bieg dni nowych. Zwracam się i do was, szanowni czytelnicy z krótkim życzeniem tego szczęścia. O to jedyne i ostatnie dobro ludzkości walczą od początku świata... W szczęściu jest wszystko, czego tylko człowiek zapragnąć może; każdy je tylko inaczej pojmuje i dla tego ludzie do szczęścia nigdy nie dojdą.

Dla czegoż życzę wam szczęścia?

Ach! wymawiając to słowo, nie miałem wcale na myśli całego ogromu wyrazu. Byłby to tylko nie znaczący frazes, dźwięk pusty, bo szczęście jest bezbrzeżne. Życzę wam więc tylko odrobiny szczęścia, miejcie jedną kroplę z tego olbrzymiego morza, bo o tę jedną kroplę tylko my wszyscy dobijamy się.

W roku rozpoczętym mamy aż dwa jubileusze dwudziesto pięcioletniej pracy dwóch najznakomitszych przedstawicieli powieści naszej: Bolesława Prusa i Henryka Sienkiewicza.

Dwa te imiona potrzebowały być jednym tchem wymówić, postawić na jednym piedestale, jedynym wieńcem laurowym otoczyć. Wyższości pomiędzy nimi niema — obaj są wielcy. Jeżeli Prus przewyższa Sienkiewicza głębią filozoficznych myśli, to ten ostatni bogactwem malowidła brak ten równoważy. I szale stoją na równi, my zaś z dumą patrzymy na obu, boć to są bracia nasi, synowie jednej matki.

Wiemy, że Prus od wszelkich głośnych owacy uchylił się, ale dość przejrzał listy i telegramy, jakie ze wszech stron do niego napływają, by pojąć czem jest Prus dla narodu. Ten wyraz ogólnej czci i miłości jest wielką pociechą dla pracownika pióra, pokrzepieniem sił, orzeź-

wieniem się po trudach niemałych i zachętą do dalszej pracy. Bywają wprawdzie rzeczywiste lecz nie uznane zasługi, którym grób dopiero wieniec laurowy uwija, — które uznaje i ocenia potomność; o — ileż szczęśliwsi są ci wybrańcy losu, nieczekający pośmiertnej chwały, cieszący się jeszcze za życia bujnym żniwem swoich posiewów.

Cześć i chwała, Tobie Prusie, za myśli Twoje, za pełne garście światła, któreś nam rzucił pod nogi; cześć Ci niestrudzony pracownikowi na niwie ojczystej, której zagon każdy przez Ciebie zasiany, czystymi pszenicznymi kłosami świeci. Nie lekką orka Twa była, nielekki plug, który zapuściłeś w ziemię, gdzie dużo padło mietlicy i kakału; — lecz potrafiłeś z niej wydobyć złoto czystego posiewu, i powiedzieć innym siewaczom:

— Patrzcie! i ta ziemia rodzić umie!

Przez takich jak Ty płynie światło, życie i nieśmiertelność!

Z powodu tych dwóch jubileuszów: Prusa i zbliżającego się dnia Sienkiewiczowskiego — rok bieżący poważnym będzie rokiem, bo rozpatrując pisarską i społeczną działalność tych dwóch mężów, wielkim orzeźwieniem dla dusz omdlałych będzie; lecz oto nadejdzie rok 1898, który skupi wszystkie umysły i serca zjednoczy wszystkich w czci jednej dla największego z największych piewców naszych. — Rok ten będzie rocznicą urodzin Adama Mickiewicza.

W Noworocznym numerze „Gazety Radomskiej“ Hugo Wróblewski przypomina narodowi o tej rocznicy. Nie możemy milczeniem pominąć słów wezwania; do uroczystości przygotować się trzeba, by godnie uczcić mistrza pieśni polskiej:

„W r. p. przypada stoletnia rocznica Adama Mickiewicza, jednego z największych geniuszów polskich i całego świata.

Potężna pieśń nieśmiertelnego poety chlubą jest narodu, chwałą literatury polskiej i powszechnej.

Twórca: „Ody do młodości“ „Grażyny“ i „Pana Tadeusza“ bożyszczem jest naszym! Pieśń Jego wstrząsa i porywa lub na skrzydłach swych unosi nas w cudny świat piękna, prawdy i najwznioślejszych ideałów ludzkości.

W r. 1898 przypada stoletnia rocznica urodzin Tego, co narodowi dał pieśń, jako świadectwo jego potęgi duchowej. Rocznicę tę w dowód wdzięczności, uczcić powinniśmy z całą powagą, jaka przystoi narodowi, stawiającemu ponad wszystko zdrowy rozum polityczny. Chodzi tu o złożenie hołdu największemu geniuszowi naszemu, a nie o cześć jakiegoś manifestacye!

Jakie kształty nadać temu obchodowi, ażeby upamiętnić na zawsze stoletnią rocznicę urodzin poety, niechaj postanowią w Warszawie najznakomitsi przedstawiciele pióra i obywatele, ja rzucam myśl z tą nadzieją, że znajdzie uznanie wśród kolegów warszawskich i o ile to będzie możebnem nie przebrzmi bez echa.

Zdaniem mojem należałoby:

1) Ażeby w dniu, którym przyszedł na świat wielki poeta, wszystkie czasopisma polskie wychodzące w Warszawie i w kraju tutejszym, numerami swymi poświęciły wyłącznie — Adamowi Mickiewiczowi.

2) Ażeby wydawcy warszawscy, „viribus unitis“ ogłosili drukiem o ile można najtańsze wydanie dzieł Adama Mickiewicza, na pamiątkę stoletniej rocznicy jego urodzin.

3) Ażeby w dniu oznaczonym w archikatedrze warszawskiej wmurowano skromną tablicę marmurową z napisem:

„W stoletnią rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. Wdzięczni rodacy 1798 24×12 1898 r.“

4) Ażeby wyjednać u władzy pozwolenie na zebranie funduszu, który nosiłby tytuł: „Stypendyum imienia Adama Mickiewicza“ dla Studentów uniwersytetu Warszawskiego, poświęcających się studjom nad językiem polskim, lub literaturą polską.

Oto projekt oddania czci geniuszowi w stuletnią rocznicę Jego urodzin, jaki nakreśliłem z tą myślą:

Że tam, gdzie naród zasługi i cnotę  
I wielkich mężów umie wielbić dzieła  
Tam zawsze prawdy świeci słońce złote  
I praca wieków nigdy nie zginęła.“

Rozpoczęliśmy więc Rok Nowy, a jak rzekłem z dziwną powagą i ciszą. Wróżbaż to ma być, że rok cały tak przejdzie? znany jest przesąd, że jak się przepędzi dzień pierwszy Nowego Roku, takim torem i następne popłyną.

Dla mnie byłoby to złą wróżbą, — bo, należąc do rzędu ludzi cichego i pokornego serca, w tej pierwszej noworocznej pogawędce z wami, pewną zawiodę kłótnię, a doprawdy, że kłótniwy nie jestem, sprzeczek nie lubię, i wszelkie zaczepki, tyżące się mnie osobiście, w kwestyach literackich zbywam milczeniem, wiedząc, że: *quot capita, tot sensus*, a różne bywają głowy i sensy. Odczytuję więc z powagą krytyki pism moich, zgadzam się, albo nie zgadzam, uśmiecham się albo się nie uśmiecham, a choć ja do lasa a mój szanowny recenzent do sasa czasem biegnie — co to szkodzi? — ani ja go zawrócę, ani on mnie pociągnie ku sobie. Lecz oto zwróciło moją uwagę parę słów napisanych w „Echu muzycznym“ a tyżących się wystawionej w teatrze premiery p. t. „Dla czego?“ Autorem tych słów jest p. Aleksander Rajchman.

Wyrażając się z uznaniem dla pięknego języka, jakim autor do widzów przemawia, zapytuje p. Rajchman autora, dla czego nie powiedział, w jakiej epoce (sic!) rzec cała się dzieje?

„Nie myślał zapewne autor — powiada szanowny sprawozdawca — o czasach, w których na krzesle prezydentów możnych państw zasiadają rzemieślnicy, laska marszałkowska spoczywa w spracowanych dłoniach synów chłopskich a równouprawnienie kastowe na całej linii odbiera kwestyi siłę i aktualność. Pytanie, rzucone z rozbolelej piersi poety, tętni starym romantyzmem a budowa komedyi na takim fundamencie — to stara „gra“ tendencyjna której w oświetleniu dzisiejszych pojęć brak — prawdy.“

Co to takiego?...

A no — autor popełnił kłamstwo wierutne, stworzył rzecz tendencyjną, oparł ją na budowie zwietrzałego romantyzmu, nie zna dzisiejszych stosunków świata naszego, które nie znają kastowych różnic i nie wie, że wyjsz Radziwiłłównie za Maćka lub Bartka, żadne względy towarzyskie na przeszkodzie nie staną. Oj, panie Rajchman, ktoś tu z nas dwóch palnął byka, ale upewniam, że nie autor krytykowanej przez pana komedyi — który sam wyszedł z łona tej kasty nie protegującej tak bardzo Maćków i Bartków, no i zna świat, do którego z krwi i tradycji należy. Konkluzya zaś wywodów pana jest taka: że — nie istnieją u nas przesady kastowe, dla tego, że we Francji pan Faure siedzi sobie na krzesle prezydenckim. Ztąd i pytanie, właściwie zarzut recenzenta: dla czego autor nie powiedział w jakiej epoce rzecz się odbywa?

Hm! pomyślałem sobie — pan Rajchman mieszka pewnie na jakiejś trzeciej półkuli świata i nie wie, że u nas jeszcze porównanie stanów nie dosięgło tak daleko. Dowiaduję się jednak, że pan Rajchman mieszka... na ulicy Nowo-Senatorskiej.

Jakimi więc patrzył oczyma na świat i w jakich niebiańskich krainach błędził, czyniąc zarzut autorowi, że na przestarzałych zagrał strunach? Ale prawda — pan Faure siedzi na krzesle prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej — ot co!

O ile jednak wolno panu Faurowi na tem krzeselku siedzieć, o tyle nie wolno panu Rajchmanowi sądzić o rzeczy, której nie rozumie. Wystąpić z pierwszym z brzegu zarzutem — nie trudno, ale nie trudno też i baka strzelić.

Rok bieżący nie tylko jubileuszowym lecz i konkursowym nazwać można. Na konkurs powieściowy „Kuryera Codziennego“ przysłało

64 utwory; na kompozycję pieśni 17, pierwszego Lipca rozegra się konkurs na dramat „Kuryera Warszawskiego“ a oto „Głos“ ogłasza także swój konkurs na powieść, dając wszelką swobodę autorom w traktowaniu przedmiotu, w wygłaszaniu swoich przekonań, za główny warunek tylko kładąc artyzm wykonania.

Niezmiernie jesteśmy ciekawi rezultatu rzeczonych konkursów. Byłoby pożądane, ażeby nowe siły wypłynęły na wierzch, choć nie tworzy talentów najsowitsza nawet nagroda. Dla nas najciekawszy jest konkurs dramatyczny; dramatów mamy nie wiele, a i te jakie mamy, z trudnością przedostają się na deski teatralne. Oznaczone zaś przez konkurs, mają wstęp zapewniony na scenę, co stanowi pewien bodziec dla piszących.

Z prospektu, jak i noworocznego numeru „Bluszczu“, czytelnicy łatwo zauważyć mogą pewne ożywienie pisma, liczącego już 32-gi rok istnienia. Nie zmieniając w niczem raz wywieszzonego sztandaru, redakcja pragnie tylko kilka świeższych barw rzucić, wniknąć w nowe potrzeby czytelników swoich i coraz bardziej ściśnionym węzłem przyjaźni z nimi się połączyć.

W jednym z numerów „Przeglądu Tygodniowego“ czytaliśmy list tam umieszczony, który to Przegląd umieścił w imię bezstronności dziennikarskiej. Czytelniczka Bluszczu, mieszkająca w Rumunii, daje odpowiedź na niektóre zarzuty czynione Bluszczowi. Porównując „Bluszcz“ z innymi tego rodzaju pismami zagranicznymi, twierdzi słusznie, że rzeczony tygodnik odznacza się większą obfitością treści, lepszym doborem materiałów, słowem bez porównania wyżej stoi od innych tygodników, przeznaczonych dla kobiet. Miłe mi jest, jako stałemu kronikarzowi „Bluszczu“, to uznanie dalekiej czytelniczki naszej. Znaleźliśmy tam jednak zarzut niewielki wrócony w stronę naszą. Oto: że gawędziarz mało zajmuje się kwestyami kobiecymi.—

Tak!—lecz już to nie jego jest wina.— O tym przedmiocie osobne są działy, kronikarza zaś zobowiązanie się tycze się tylko chwytania z lat o ile można, bieżących wypadków życia, zamkniętego przeważnie murami miasta. Nie mogę więc wchodzić w prawa, nie należące do mnie, choć przyznaję, że mieszkańcom dalekiej prowincyi, obojętne są może miejscowe sprawy warszawskiego bruku. Chciało by się rozszerzyć widnokrąg, o tem, to o tem wspomnieć, ale... Ale jest wszędzie, i kronikarz „Bluszczu“ jest niem nieraz ściśniony i pragnąc otrząść całe drzewko złotych owoców, musi nieraz zadowolić się bladym kwiatkiem rozkwitniętej jabłoni.

Do widzenia zatem, łaskawi czytelnicy, do widzenia z nadzieją dobrego roku, dobrego humoru—a może i barw więcej na palecie waszego kronikarza się znajdzie.

??



## W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Tak trwało przez wieki. Były wyjątki. Czasem prawa i obyczaje, jak w starożytnej Grecyi i Rzymie ulegały jakimś zmianom, z których korzystając kobiety spieszyły piły ze źródła nauki i pomyślnie dokonywały czynności wyższych, obszerniejszych nad ściany gineceów i trielinów wtedy świat widział i podziwiał Aspazy, Hy-

paty, Kornelie, Arye. To, że pierwsze chrześcijanki wzniosły się na szczyty męczeństw, podejmowanych za ideę, było w znacznej mierze następstwem swobód intelektualnych i społecznych, których kobieta rzymska używała więcej niż którakolwiek z jej poprzedniczek.

Matka Grachusów, w gronie filozofów tocząca uczone rozprawy, matrona zasiadająca na pierwszym miejscu u domowego i biesiadnego stołu, naczelniczka rodziny, która po śmierci małżonka posiadała prawo rozciągania rządów nad rodziną majątkiem i dziećmi; Agrypina wspólnie z Germanikusem objężdżająca szeregi wojskowe. Fania, dobrowolnie dzieląca z małżonkiem srogie wygnanie, Westalka, przed którą aktorowie igrzysk składali pokłon wprzód niż przed senatem, słowem, patriotka, filozofka, bohaterka, kapłanka rzymska, przygotowała pierwszą chrześcijankę. W innych momentach historycznych, zjawiała się także w sposób meteoryczny lepsze dla niewieściego świata chwile, z których wynikały świetne umysłem i cnotami postacie niewieście, a wątpić nie można, że zawsze i nieprzerwanie dnem społeczeństw toczył się strumień cnot i myśli kobiecych nieznanych, bezimiennych i rozlewało się morze kobiecych niezmiernych cierpień, pochodzących ze zgnębionych przez prawo i obyczaj sił i zdolności. Nierzadko, te zgnębione siły zdolności wyradzały się, zmieniały korytka i nie mogąc wytrysnąć rozumnem czynem, tryskały przebiegłością, podstępem, intrygą. Niewola wydawała zwykle swe następstwa: obok wielkiej miary lez, większą jeszcze miarę trucizny.

Było też rzeczą zupełnie naturalną i konieczną, że gdy w najnowszych czasach, pod wpływem coraz szerzej rozlewającej się na masy oświaty, wielkiego nagromadzenia w powszechnej umysłowości teorii humanitarnych, a także pod wpływem warunków ekonomicznych, kobiety tłumnie i czynnie upominać się zaczęły o swoje ludzkie prawa, upomniały się przedewszystkiem i najgorliwiej o to, od czego najdalej oddalonymi były: o wolny dostęp ku ideałowi prawdy. Tak wiele mówiono im od wieków że są w świecie przedstawicielkami i kapłankami dobra i piękna, iż łatwo im było popaść w błędne mniemanie, że w tym kierunku nie im do żądania i zdobywania nie pozostało. Nauka sama w sobie i przez życiowe korzyści, których udziela tak jest ponętną, iż naturalną było rzeczą zblednięcie wobec niej i usunięcie się na plan dalszej cnoty. Przytem, etyczna miara wielkiej grupy społecznej jest nierównie trudniejszą do sprawdzenia od umysłowej; o swojej małej mierze umysłowej kobiety wiedzieć musiały, aby dowiedzieć się, czy etyczna ich miara dostateczną jest dla działań ludzkich i obywatelskich, dla samej nawet możności zdobywania i użytkowania wiedzy—trzeba było sprawdzianu, który wytworzyć mógł tylko czas

We wszystkich tedy krajach, w stopniu odpowiednim do możliwości i przygotowania, powstał ruch kobiecego świata—ku szkole,—ku szkole pojętej jako źródło wykształcenia umysłowego i fachowego. Był to ruch płynący z pobudek zupełnie słusznych, bardzo zbawienny, bardzo konieczny, mający za cel wydzwignięcie kobiety z pęt ograniczonych pojęć, z piasku przesądów, z czysca wiecznej zależności, z piekła materialnej nędzy. Wszystkie w swoim czasie ruch ten popierałyśmy słowem lub czynem, lub zarazem jednym i drugim, wszystkie uczuwałyśmy jego słuszność, zbawienną, konieczność; tego zaś, czy sam jeden dać on nam zdoła wszystko, czego nam nie dostawało, czy obok jego linii zakreślonej szybko i daleko nie powinna być dążąca do tego samego celu inna jeszcze linia równoległa i równoważna? Spostrzegając nie mogłyśmy, bo wykazać to miało dopiero doświadczenie paru dziesiątków lat i ochłonięcie z pierwszego zapału, który nas unosił ku ideałowi prawdy—ze straceniem znowu z uwagi—ideału dobra.

Szkola udziela nauki wogóle i umiejętności fachowych. Przez wielki ruch w tę stronę i odpowiednie usiłowania, dokonaliśmy wielu do-

byczy, otworzyłyśmy przed sobą wiele źródeł i wiedzy i zarobku. Zdobyć te nie są jeszcze zapewne wystarczającymi, lecz są znacznymi, przedstawiają niezaprzeczonego postęp.

Czy przecież równoległe z umysłowym i fachowym podniósł się nasz poziom moralny? Ale naprzód, od jakich przymiotów zależy niższy lub wyższy poziom moralności? Mniemam, że określić to można w niewielu słowach. Sprawiedliwość, dobroć, miłość, siła i wytrwanie woli, czystość czynu i obyczaju, zdolność do ofiar z chęci i namiętności zasad, na rzecz współczucia z rodem ludzkim i współpracowanie z nim na jego korzyść, oto są przymioty najwięcej oddalające człowieka od pierwotnego punktu jego wyjścia, którem jest zwierzę i najwięcej przybliżające go do specyficznego typu ludzkiego. Być jak najinniej samolubnym i nie być wcale drapieżnym i rozuzdanem zwierzęciem, stawać się coraz więcej człowiekiem społecznym, to jest współczuciem i współpracą zwanym z rodem swoim, jest to stać na wysokim poziomie moralnym. I daremnie utrzymują niektórzy, że moralność jest rzeczą względną i nie posiadającą podstaw stałych, ponieważ jej podstawy różnemi bywają w różnych czasach i miejscach. Jest to fałsz. Różnemi istotnie będąc w różnych czasach i miejscach, mają one zawsze jeden cel: sprzyjanie rozwojowi społeczeństw, w których panują. Dla rozwoju naszego, europejskiego społeczeństwa, przymioty powyżej wymienione są sprzyjającymi; one też niewątpliwie stanowią naszą europejską moralność.

Czy w ostatnich dziesiątkach lat, suma tych przymiotów wzrosła wśród kobiet europejskich równomiernie z sumą oświaty umysłowej i umiejętności fachowej? Nie. Z dwóch linii postępu równoważnych, jedna wydłużyła się dość szybko, druga, daleko za tamą pozostała i to właśnie wydaje mi się krzywizną, którą wskazać pragnę i o której wyprostowanie starać się należy. Ze stałyśmy się oświeczone i mniej od cudzej pracy zależne, to jest widoczne, lecz na całym widnokręgu spraw i działań naszych, niema dowodów abyśmy się stały sprawiedliwsze, lepsze, czystsze, surowsze dla siebie, silniej z innymi współczujące. Liczba instytucyi i stowarzyszeń wytworzonych przez nas w celach nauki i zarobkowej pracy, w niektórych krajach jest bardzo poważną, we wszystkich znaczną; takich, które mają na celu kształcenie charakterów świadczyłyby o zwróceniu w tę stronę naszej uwagi i troskliwości istnieje bardzo mało. Na mnóstwie już miejsce, głowy i ręce połączyły się po to, aby głowy oświecić, a ręce nauczyć niezależnego pracowania; gdziekolwiek tylko znaleź możemy siły, spójnie pracujące nad ulepszeniem serc, wzmocnieniem woli, wypracowaniem dobrych przyzwyczajęń i obyczajów. Ta nierównomierność dążeń i usiłowań dowodzi nieścisłości szali, na której ważymy dwa jednak równoważne i solidarne z sobą pierwiastki natury ludzkiej: umysłowy i etyczny. Uwydatnia się to w opiniach publicznych, które w ciemnocie umysłowej dostrzegają taką ujmę, że wstydzą się jej te z pomiędzy nas, które przez zboczenie moralne nie tylko zawstydzonymi się nie czują, ale zawstydzonymi być nie mogą, bo jeszcze nawet nie rozumieją, że to, co czynią, jest zboczeniem moralnym. Cała naprzykład liczna grupa kobiet bogatych lub dostatnich, na byt codzienny pracować nie potrzebujących, oświatę umysłową w mniejszym lub większym stopniu posiadają i w znacznej mierze posiada; zarzut ciemnoty umysłowej byłby dla niej jednym z zarzutów najbardziej dotkliwych i ośmieszających. Lecz na drodze rozwoju moralnego ta grupa nie dosięgła jeszcze samego nawet zrozumienia, że rozłaczanie zuchwałego zbytku wobec cierpień i nędzy trawiących inne grupy, rujnowanie przez ten zbytek ognisk i ścian domowych, że rozluźnianie i psucie obyczaju publicznego przez rozmiękanie na drobna monetę podstawowych uczuć, że obojętność dla interesów, prac, ran i ideałów powszechnych, a zanurzenie się w swoich własnych tylko interesach, zabawkach, grzeszkach, są rzeczami antymoralnymi, rzecza-

mi wrogami dla pomysłnego rozwijania się społeczeństw i ludzkości, rzeczami których winy i hańby okupić nie może najwyższa nawet oświata.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

I.

W dużym, skromnie umeblowanym pokoju w Żarnkach, majątności hrabiny Żarnowieckiej, siedziały ranną porą dwie młode panny.

Okna pokoju, położonego na pierwszem piętrze, wychodziły na ogród i były szeroko otwarte; świeże wonne powietrze czerwcowe wpływało przez nie z ogrodu, wraz z promieniami słońca. Jedna z dwóch młodych panien, zgrabną główkę, okrytą bujnemi kasztanowatemi o złotym połysku włosami, pochylała nad pięknym stanikiem z błękitnej materii, który szybko i zręcznie garniowała koronką; druga rzucona niedbale na kanapkę, stojącą między dwoma oknami, wysmukła o pięknych rysach brunetka, skubała w palcach kawałek materii leżącej na stole, i od czasu do czasu rzucała okiem na szyjącą, na jej robotę i wdychała z cicha.

— Widzę, że mi nie dowierzasz, Kamilko! — ozwała się z uśmiechem szyjącą, nawlekając nową nitkę na igłę.

Głębokie westchnienie uleciało znowu z piersi panny Kamilli.

— Ach, nie! — rzekła — tylko obawiam się czy skończysz!... Nieszczęście z tą Teresą! rozchorowała się teraz, właśnie teraz! kiedy mi jej najbardziej potrzeba... Pocziwa jesteś, Janinko, żeś się podjęła tej roboty... inaczej nie wiem co bym zrobiła. Przecież wygorsowana nie mogła bym się dziś pokazać, na domowym wieczorku, na wsi...

— Masz tyle innych sukien... wtrąciła nazwana Janiną. — Nie robię ci wymówki! — dodała spiesznie — bardzo mi nawet miło, że mogę ci się przyśłużyć, ale doprawdy nie rozumiem, dlaczego dziś zapragnęłaś tak gwałtownie włożyć tę suknię na siebie.

— Przecież ci wspominałam, że to... ulubiony kolor mego kuzyna...

— Ach prawda zapominałam!.. pana Romana Bronimirskiego! jakże ja mogłam zapomnieć o tem...

W niezwykłe poważnym tonie mowy młodej dziewczyny było coś, co się Kamilli nie podobało. Spojrzała na towarzyszkę przelotnie i spotkawszy na sobie smutne jej oczy, co prędzej spuściła swoje na stanik.

— Tak będzie? — spytała żywo, dotykając ręką garniowania. — Czy tak będzie dobrze? nie poznają że ta suknia była gorsowana? och! będzie dobrze z pewnością, tyś taka zręczna... Ja to nic nie umiem! — dodała spoglądając na swoje białe, wypieszczone dłonie.

— Zobaczmy co twoja mama powie...

— Czy mama co wie? nie pytałam się jej jaką suknię włożyć. Sama ją wybrałam, bo w niej byłam ubraną, gdym po latach wielu Romana ujrzała po raz pierwszy... Było to u p. p. Przemyskich tej zimy... — mówiła dalej w zamysleniu, opierając głowę na rękę. — Podobałam mu się wtedy, powiedział mi to...

— Pragniesz jak widzę odnowić wrażenie... wtrąciła Janina — to mi daje do myślenia...

Kamilla niecierpliwie głową potrząsnęła.

— Możesz... — odrzekła niedbale. — Zresztą — dodała szybko, prostując się, jakby z nagłem po-

stanowieniem — wolę ci już całą prawdę powiedzieć! Nadto dobrze z sobą jesteśmy, żebyśmy tajemnice miała przed tobą i już mi to milczenie ciąży, odkąd z miasta tej wiosny wróciłam... Jeżeli milczałam, to więcej ze względu na... ciebie jak na siebie! Tak! dobrze się domyślasz! pragnęłabym zostać żoną Romana... Wiem że wuj Bronimirski bardzo sobie tego życzy... Być może że dla tego sprowadzono Romana tej zimy do Lwowa, że ja w tem mieście miałam być w świecie... być może iż mama z wujem ułożyli to sobie bez naszej wiedzy... Roman jawnie dawał mi tej zimy dowody swojej przychylności; że się nie oświadczył, to zapewne dla tego, że z góry ułożono sobie wypróbować nasze uczucia... Ale przyjazd jego tutaj, to już chyba coś znaczy, bo nie wierzę w to co mówią, że przybywa dla skontrolowania gospodarstwa w Wasilcach, które tak długo obchodziło się bez kontroli! Wuj Bronimirski od lat wielu dla zdrowia siedzi za granicą, w Wasilcach gospodaruje zaufany rządcą, którego wuj sam przyuczył. Roman także podróżował przez lat kilka z rządu. Mama utrzymuje, że nie ma on żadnego zamiłowania do gospodarstwa; jest to rodzaj uczonego szperacza, rodzaj archeologa... woli kopać stare szczypty niż kartofle, a jemu tu każą przyjeżdżać... Bawi mnie to! Mama naturalnie otwarcie ze mną nie mówi, ale czuję, że marzy o tem aby mnie widzieć panią w Wasilcach... Ma tam być podobno stary zamek, przerobiony na mieszkanie wspaniałe, rozmaite cenne zabytki przeszłości i majątek ogromny, którego Roman będzie jedynym sukcesorem. Pokrewieństwo między nami nie tak bliskie, abyśmy się pobrać nie mogli. Słowem, wszystko przedstawia się w jak najlepszym świetle.

Kamilla mówiła ożywiając się stopniowo, swobodna, spokojna zupełnie i uśmiechnięta, a Janina słuchała szyjąc w milczeniu, obojętna na pozór.

— Tak, — rzekła po długiej pauzie, starając się zachować pozór obojętności, — wszystko przedstawia się w jak najlepszym świetle — o jednym tylko nie mówisz, o rzeczy najważniejszej... czy ty go kochasz?

Kamilla rzuciła się niecierpliwie.

— Zabawne pytanie, którego powinnam się była spodziewać po tobie! — zawołała. — Czy kocham? nie zastanawiałam się jeszcze nad tem, *au fond*... czyż bez tego nie można się obejść? koniecznie sentymenta na placu!...

— Tak? — spytała przeciągle Janina, — więc to ma być *un mariage de convenance*, w którym pieniądze gra główną rolę...

Rumieniec występował z wolna na twarz pięknej panny; milczała chwilę.

— Pieniądz? — powtórzyła z wolna. — I pieniądz ma swoje znaczenie, zapewniając dobrobyt, wygodę, życie bez troski o jutro... a to wiele znaczy. Roman jednak nie tylko pieniążną wartością innych przewyższa. Posiada zdaje mi się, wszystkie zalety a żadnej wady; jest tylko bardzo — może nadto poważny, aż czasem czyni wrażenie znudzonego. Pomimo tego, słyszałam raz tej zimy jak mówiono, że jest niebezpiecznym dla kobiet...

Przerwała sobie Kamilla, może myśląc, że Janina coś jej odpowie, ale ta ostatnia szyla zawzięcie, choć igła drżała w jej dłoni i nie odezwała się żadnym słowem.

— Jeżeli zostanę żoną Romana, — ciągnęła dalej Kamilla, nie zważając na obojętność towarzyski, — z pewnością pokocham go bardzo, gdyż wart tego. Pamiętam jak przez sen, żem go widywała tutaj, gdy przyjeżdżał do nas z Wasilec, małym chłopcem. Między nami jest jakich lat ośm różnicy wieku. Ale wspomnienia te bardzo niejasno rysują się w mojej pamięci; mogę powiedzieć, że tej zimy dopiero po raz pierwszy poznałam Romana...

Janina ciągle milczała, ale ciemne plamy rumieńca na twarz jej wystąpiły, usta zaciskała nerwowo i ręce jej coraz bardziej drżały. Kamilla raz i drugi spojrzała na nią nieco niespokojnym wzrokiem; mięszała ją widocznie uparte milczenie towarzyski.

— Jaką suknię włożysz dzisiaj wieczorem? — spytała nagle zmieniając przedmiot rozmowy i ton mowy zarazem.

— Ja? — odrzekła Janina zbudzona z zamyslenia, podnosząc smutne oczy. — Przecie mam tylko jedną, którą znasz dobrze...

— Tak, białą, w której wyglądasz jak anioł. Pan Juliusz będzie zachwycony.

— Wbrew mojej woli, ręczę ci, — odrzekła Janina swobodniejszym nieco tonem. — Pani Adela gotowa go na pokutę biedaka postawić...

— Szczególny człowiek! żeby tak dobrowolnie siedzieć pod pantoflem własnej siostry! — zawołała Kamilla z ożywieniem, chwytając temat rozmowy, który zajmować się zdawał milczącą dotychczas Janinę. — Ile razy spojrzysz w twoją stronę, westchnie, zagada, natychmiast ogląda się, czy Adela nie widzi!

— Żal mi go!... — wtrąciła Janina.

— Jego ci żal? Juliusz ma szczęście zasługując na twój żal, pomimo, że nie wart tego, bo takie kompletne zero...

— Cóż on temu winien?

— A co winien Roman, że go nie lubisz?

— Ja pana Bronimirskiego nie znam... — odrzekła Janina zimno.

— Jak go poznasz, polubicie się wzajemnie zapewniła Kamilla, — ty także jesteś bardzo poważna...

— Och! — zawołała Janina, — ręczę ci, że pan Bronimirski nie zwróci nawet uwagi na moją osobę!

— Zapewne, jeżeli się o to nie postarasz; jesteś bardzo miłutka, jak chcesz nią być, ale taka niewyrozumiała!... To darmo, moja droga! nie każdy zdolny do zaparcia się siebie, tak jak ty...

— Jabym się moich uczuć nie zapała nigdy!... — szepnęła Janina czyniąc aluzję zrozumiałą tylko przez Kamillę, gdyby słowa te słyszała, ale być bardzo może, iż nie doszły one jej uszu, bo w tej samej chwili dał się słyszeć głuchy turkot powozu zajeżdżającego przed ganek po drugiej stronie domu, od dziedzinca; Kamilla szybko się zerwała z miejsca.

— To on! Roman, już przyjechał!... — wołała zarumieniona biegnąc ku drzwiom. — Mama pewnie jeszcze nie ubrana... muszę iść go przyjąć! Wróciła od drzwi i dotknęła przelotnie czoła Janiny ustami.

— Ty skończysz Janinko? prawda, skończysz przed obiadem? przychodź prędko na dół; prezentuję ci mego narzeczonego! — dodała śmiejąc się, ale tylko dla tego, żeby ukryć pomieszanie, które ją nagle ogarnęło, sama nie wiedziawszy z jakiego powodu.

Po jej wyjściu, po tych słowach, na które nie miała czasu odpowiedzieć, Janina opuściła robotę na kolana i nagłym ruchem zacisnęła oczy dłonią.

Lzy cisnęły się gwałtem do powiek, płakać nie było czasu, choć łkanie piers rozrywało...

— Boże mój, Boże! — szepnęła biedna.

Przetarła oczy dłonią, i zabrała się napowrót do roboty, wiedząc że nie ma ani chwili do stracenia. Co prawda, Janina nigdy nie miała chwili do stracenia.

Biedna sierota, córka bratowej hrabiny Żarnowieckiej z drugiego małżeństwa, Janina była z litości, z łaski do domu przyjęta.

Hrabina Żarnowiecka pochodziła z możnej niegdyś, podupadłej majątkowo rodziny; piękna, dobrze wychowana, nadzwyczaj dobrych manier i pełna dobrego przekonania o sobie, umiała się pokierować w świecie, wychodząc za hrabiego Żarnowieckiego, który prócz majątku, wprawdzie nadszarpanego nieco, był prawdziwym arystokratą, i młodej żonie utorował drogę do pierwszych salonów stolicy. Będąc u szczytu swoich marzeń, dumna hrabina zapragnęła jedynemu bratu zgotować los podobny swojemu. Pan Feliks, starszy nieco od siostry, ale bardzo do niej przywiązany, dał się wciągać w towarzystwa, ale podczas gdy hrabina usilne zabiegi uczyniła w celu pozyskania dla niego ręki jakiejś hrabianki, pan Feliks okropny cios zadał kochającej siostrze, żeniąc się z biedną, choć śliczną i z dobrej rodziny panią, sierotą, kształcąca się na nauczycielkę... Tego darować nie mogła hrabi-

na, i oburzona do żywego, zerwała wszelkie stosunki z bratem, który robiąc tak straszliwy megalians, okrył ją wstydem.

Hrabina Żarnowiecka na wskroś była przesiąknięta egoizmem. Nie bolała wcale że przez długie lata żadnej wiadomości o bracie nie miała, nie starała się nawet dowiedzieć co się z nim dzieje.

Aż kiedyś, kiedyś, po kilkunastu latach, gdy i na nią różne nieszczęścia spadły, gdy straciła kolejno dwoje dzieci, i męża, ozwała się nagle w zboląłem sercu zapomniana nuta, odżyło wspomnienie brata... Jednak, spóźnione poszukiwania na nic się nie zdały! Pan Feliks nie żył już,—a jego żona powtórnie zamąż wyszła.

Dowiedziawszy się o tem, oburzona na postępek wdowy hrabiny widzieć jej nie chciała, ale usłyszawszy że Feliks zostawił synka, oświadczyła że zajmie się jego wychowaniem. Propozycja hrabiny protekcyjnym tonem uczyniona, trafiła na stanowczy opór pani Feliksowej; nie życzyła sobie oddawać dziecka tej, która przez lat tyle znać ojca nie chciała, a teraz matką gardziła. Zrażona w swojej dumie zamilkła hrabina, i przeszło tak znowu lat kilka. Owidniała hrabina mieszkała w swoich Żarnkach z jedyną już córką małą Kamillką, a była jej bratowa, terazniejsza pani Strzelecka w oddalonym mieście, gdzie jej mąż urząd jakiś w biurze kolejowym piastował.

Nagle, okropna wiadomość o śmierci obojga pp. Strzeleckich nadeszła do Żarnek... Odnoszono się do hrabiny Żarnowieckiej jako do jedynej krewnej małoletniego Kazia Umińskiego, a względnie jego przyrodnej siostry, małej Janiny.

Hrabina bardzo serdecznie zajęła się losem siostrzeńca, co do jego siostry... wyznawała cichaczem, że ten ciężar wcale niespodzianie, i niefortunnie spadł na nią...

Instynktowo nie lubiła małej, nie widząc jej, i nie wzięła jej do siebie, zostawiając na pensyi, gdzie, dwunastoletnia wówczas Janina, jeszcze za życia rodziców umieszczoną była. Kazio za to, śliczny siedemnastoletni młodzieniec, odrazu przypadł jej do serca; podziwiała w nim spryt wrodzony, bystrość umysłu, dziwną w tym wieku energię, która jej imponowała, i nadzwyczajną elegancję manieri, które rodowemi uznawała.

Kazio zastał także w mieście, umieszczony u profesora, gdzie kończył nauki, ale dostał raz na zawsze zaproszenie od ciotki na letnie wakacje.

Dwa lata temu Janina po raz pierwszy weszła w dom hrabiny, trzymana jak można było najdłużej na pensyi, bo aż do osmnastu lat.

Hrabina długo rozmyślała co ma z nią robić... postanowiła w końcu wzięść sierotę do siebie.

Potrafi się znaleźć dla niej, jakies zatrudnienie... tymczasem, niech tam sobie czeka!

Kamilla, o dwa lata młodsza od Janiny, pozbawiona dotąd towarzystwa stosownego do swego wieku, bardzo polubiła sierotę, i niedługo stały się nierozdzielni przyjaciółkami. Być może iż do tej przyjaźni to się głównie przyczyniło, że Janina była siostrą Kazimierza... którego młodzianka Kamilla ubrała w szaty ideału...

Starsza, a bystra Janina, przeczuła odrazu niewinną miłość obojga, i jak poważna, doświadczona kobieta wzięła zakochanych w opiekę.

Widziała biedna że w tym związku może być szczęście brata, współczuła z Kamillą, ale bała się hrabiny, która jednym słowem mogła wszystkim marzeniom koniec położyć.

Kto wie jednak, czy hrabina była by się bardzo srogą okazała, bo Kazio był jej oczkiem w głowie, gdyby nie pewna, fatalna okoliczność, która Kazimierza na zawsze wyrugowała z domu ciotki, a biednej Janinie utrudniła w nim pobyt...

Kazimierz, ten wypieszczony, elegancki panicz, ośmielił się, wbrew woli ciotki oświadczyć, że zostanie lekarzem... Było to ani projektem na wiatr, ani czezem słowem, była to niestety naga prawda... przewrotny, niegodziwy Kazio oszukiwał ciotkę... od lat kilku, od skończenia szkół uczęszczał na medycynę, i w tym roku już miał zdawać ostatni egzamin... Wdał się

w ślady ojca, i jak on, samodzielnie rozrzucił sobą!...

Stanowczy, nieugięty Izami Kamilli, gniewem i wymyślaniem ciotki, opuścił Żarnki, unosząc z sobą niezatarte wspomnienia swego tutaj pobytu, ujęty, a może i podziwiający w części gorące uczucie kuzynki.

Rozszlochana Kamilla w obec matki przyznała się do swojej miłości, błagała ją o pobłażanie, mówiła, że umrze...

Hrabina w milczeniu, gniewna bardzo, słuchała rozegzaltowanych słów córki, i nie starała się wcale jej uspokoić; tylko, gdy nadeszła zima, zawiozła Kamillę do miasta...

Młoda panna wróciła całkowicie uspokojona. Lekarstwo matki okazało się bardzo skuteczne; świat zawrócił głowę młodej dziewczynie, i ochłodził serce.

Janina, której nie wzięto do Lwowa na zimę, zauważyła tę zmianę zaraz, jak tylko te panie z miasta wróciły, ale widząc że Kamilla unika szerszej rozmowy, nie zadawała jej pytań, tylko bardzo, bardzo bolała...

Dziś otwarły jej się do reszty oczy: dziś, gdyby nawet chciała, wąpić by już nie mogła! I ciężko jej było biednej, tak ciężko, że kończąc wytworną suknię Kamilli, ledwie nad Izami zapanaować mogła.

Biedna sierota, której życie tak smutnie płynęło od śmierci rodziców, nie dla siebie nie pragnęła, nie myślała nawet, nigdy o sobie. Jedyne szczęściem jej był ów brat jedyny, od którego ją odłączono w tak brutalny sposób; ale dotąd Janina sądziła, że Kamilla wierną mu zostanie, i to ją pocieszało. Dziś już i tej nadziei nie miała...

Co on powie ten biedny Kazio, jeżeli kochał ją naprawdę? serce jej się krajało na samą myśl o jego rozpaczy.

Nic dziwnego, że ten przybyły kuzynek nie mógł być sympatycznym Janinie; każdy jego tryumf to klęska dla Kazia... Nie wątpiła biedna, strapiiona dziewczyna, że Kamilla da się oszołomić, zbałamucić, że w końcu może ją podmówią, przekonają i zostanie panią Romanową. I tak była tego pewną, że czekała tylko chwili, w której miała poznać Romana, by mu spojrzeć w oczy, i wyczytać w nich, że już ma słowo kuzynki.

Pośród tych smutnych myśli suknia ukończona została; Janina odłożyła ją z westchnieniem ulgi, i zaledwie wstała, gdy głos dzwonka się ozwał, wzywając na obiad.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

### 2) Przyjazd do Tangeru.

Była godzina 6-ta rano, kiedym wyszedł na pokład. Morze było spokojne, szare, dziwnie wyglądzone. Niebo przesłaniała mgła, która się unosiła nad wodą. Gdyby nie ta mgła, mógłbym być świadkiem ślicznego wschodu słońca na morzu, ale horyzont gubił się w mglistej przestrzeni, która tyle tylko, że się różowała od strony wschodu. W pierwszej chwili nie było widać nic, oprócz mgły, która wisiała tak nisko, że w niej tonęły wierzchołki masztów naszego okrętu, i dość znacznej połaci morza, które robiło takie wrażenie, jakby było zaspane, jakby się jeszcze nie było zbudziło ze snu. Okręt płynął równo, nie kołysząc się prawie wcale. Na pokładzie było pusto. Byłem pierwszym pasażerem, który wstał. Inni spali jeszcze.

Zbliżyliśmy się do Tangeru. Za godzinę miałem zobaczyć Afrykę. „Gdyby nie mgła, rzekł

do mnie kapitan okrętu, z którym się wdałem w krótką pogawędkę, przechodząc koło jego budki, jużbysmy widzieli wybrzeża Afrykańskie. Już jesteście bardzo blisko.“ Że tak było, przekonałem się niebawem, gdyż nie upłynęło kilkanaście minut, a już przez mgłę poczęła przed dziobem okrętu przeziierać długa ciemniejsza smuga, którą, jak się okazało, był ląd, była Afryka.

Zawsze, kiedy się po raz pierwszy dostrzeżę coś, czego się nie znało dotychczas, doznaje się małego wzruszenia. Cóż dopiero, jeżeli tem czasem jest inna część świata. Nie dziw więc, że i mnie żywiej zabiło serce, kiedym pomyślał, że oto zbliżam się do Afryki, że niebawem wyląduję na ziemię afrykańską.

Tymczasem na okręcie powoli zaczęło się ożywiać. Zjawili się dwóch Anglików, a po jakimś czasie ukazali się owi młodzi Francuzi, którym wystarczyło zobaczyć mgłę, ażeby zacząć do-wcipkować na jej temat. Po chwili zadzwoniono na śniadanie.

Kiedym schodził do sali jadalnej, myślałem o mojem wczorajszym vis-à-vis, którego cudna główka w złotych lokach, jakby wymarzona przez Greuze'a, nie przestała mi wibrować przed oczyma duszy; to też, kiedy zbliżając się do nakrytego stołu, przy którym już siedziało kilka osób, dostrzegłem moje miseczkę (jakby się o nich wyraził Sienkiewicz), pijące herbatę, wrażenie, którego doznałem na ich widok a zwłaszcza na widok mojego wczorajszego vis-à-vis, było bardzo przyjemne. Nim zająłem moje miejsce, uważałem za stosowne uklonąć się moim najbliższym sąsiadkom, co oczywiście było bardzo dobrze przyjęte, a wyrażone uprzejmem skinieniem główek, między którymi znalazła się i jasnówłosa główka mego vis-à-vis. Ledwom usiadł, zaraz mi podano: herbatę, pieczywo, masło, miód, wędliny, zimne mięsiwa etc. co wszystko razem, choć wyglądało bardzo apetycznie, ani na chwilę nie potrafiło odwrócić mej uwagi od tych ogromnych szafirowo-fioletowych oczu, które się co moment spotykały z moimi... Tak mi upłynęło całe śniadanie, podczas którego zauważyłem, że okręt coraz bardziej zwalnia biegu.

Dopływaliśmy do Tangeru. Kiedym po herbacie wyszedł na pokład, już całe wybrzeże było widać doskonale, bardzo blisko, a przed nami o jakie 1½ kilometra, bieliła się zbita gęstwa domów, amfiteatralnie rozłożona nad samem morzem. To Tanger, stolica Marokko. Po obu stronach ciągnęły się skaliste brzegi, nagie i nie malownicze, a choć to była Afryka, pejzaż nie miał w sobie nic charakterystycznego, pomimo, że mgła gdzieś się podzielała, że niebo wyblękitniało, że słońce, jeszcze opalowego koloru, świeciło pogodnie, a morze, już ciemno błękitne o atramentowym odcieniu, mieniło się pod światło. W powietrzu fruwało mnóstwo mew, ale i te, choć bardzo ożywiały cały pejzaż, niczem się nie różniły od europejskich: tak samo skomlały żałośnie, jak tamte. Ale był jeden przesłiczny szczegół w tym pejzażu: te moje dwie Angieleczki, które mu się przypatrywały, a które, wsparte o żelazną balustradę, prześlicznie odcinały się od błękitnego tła morza i białych domów Tangeru, widnych w głębi.

Mimowoli przypomniało mi się to, co nieraz słyszałem z ust jednego z moich kolegów, kiedymy z nim chodzili po Tatrach: że najpiękniejszy krajobraz dopiero wówczas jest skończenie piękny, jeżeli służy za tło—pięknej kobiecie. Tymczasem brzydka potrafi popsuć najczarowniejszy pejzaż, który, oglądany przez jej przyzmat, wyda się o tyle brzydszym, o ile ona nie jest piękną. Wszystko zależy od przyzmatu, przez który się patrzy na naturę; nawet mazo-wieckie piaski mogą się wydawać pięknymi, jeżeli się na ich tle widzi piękną postać niewieściami.

Tymczasem okręt płynął coraz wolniej, zaczęto się krzątać koło spuszczenia kotwicy, która wreszcie, z ogromnym hałasem i loskotem, z ogłuszającym brzękiem i grzechotem łańcucha odwijającego się z wielkiej szpulki żelaznej umieszczonej na środku pokładu, zapadła w mo-

rze. Po chwili stalismy w miejscu, kotwica zaczepiła się o dno morskie.

Jednocześnie jedna z olbrzymich gwizdawek pod kociną, sycząc przeraźliwie, jak zarzynany wół, zakwitła wysoką kłębą białej pary. Idąc za przykładem moich Angielek, zatkałem uszy, a spojrzawszy na dość znaczną przestrzeń wodną, która nas dzieliła od brzegu, zauważyłem kilkanaście łodzi, z szybkością płynących ku nam. Byli to przewoźnicy arabscy, jadący po pasażerów, chcących wylądować i obejrzeć Tanger. Nie upłynęło kilka minut, a już podpłynęli pod nasz okręt, z którego opuszczono schody. Wsparty o burt okrętowy, spoglądałem na dół, bo widok, który miałem przed oczyma, zupełnie był nowym dla mnie: począwszy od kształtu czołów, które były długie i wąskie, tak wąskie, jak angielskie *giki* wyścigowe, a skończywszy na przewoźnikach-Arabach, którzy byli w turbanach na głowach, w białych strasznie brudnych i oberwanych burnusach, z gołymi łydkami miedzianego koloru, w żółtych pantoflach na gołych nogach. Kiedy opuszczone schody dosięgły poziomu morza, wszyscy starali się do nich przybić pierwszą: powstała ciżba, zamieszanie, hałas; jedne łodzie cisnęły się na drugie, wszyscy się przepychali, wymyślali sobie, a czynili taki hałas, że przypominali żydów, kłócających się przed giełdą. W końcu kilka łodzi zgrupowało się koło schodów, na które zaraz wskoczyło kilku przewoźników. Pierwszy wskoczył jakiś Arab, tem się różniący od reszty, że był porządnie ubrany, a który, jak się okazało, był przedsiębiorcą przewozowym, właścicielem tych łodzi. Był to piękny mężczyzna o oliwkowej cerze i czarnym zarostku, w pięknym białym zawoju z czerwonym ośrodkiem, w czystym burnusie z delikatnej flaneli. W rękę miał trzcinę, którą—jak się okazało niebawem—niby różdżką czarodziejską uspakajał swych podwładnych, sposób zaś, w jaki to czynił, w dotkliwy sposób odbijał się na ich plecach lub łydkach.

Tymczasem całe grono pasażerów zgrupowało się przy schodach, bo wszyscy pragnęli zwiedzić Tanger, na co mieli cztery godziny czasu: okręt odpływał dopiero w południe. Chodziło o przeprowadzenie się na brzeg. Zaczęły się targi, w których pośredniczył kapitan okrętu, jako świadomy sytuacji, targi, które trwały dość długo, bo piękny Arab, bardzo płynnie mówiący po francuzku i po angielsku, a którego trzecina raz po raz spadała na karki przewoźników, kiedy wrzeszczeli za bardzo, żądał ogromnie wiele, bo po 10 franków za osobę. Skończyło się na franku. Kiedy układ stanął nareszcie, a pasażerowie chcieli zacząć schodzić, zaczęła się nowa scena, scena, w której owa trzciną odegrała rolę najglówniejszą: oto każdy przewoźnik, licząc na napiwek, pragnął wziąć jak najwięcej pasażerów, których na każdej łodzi mogło się zmieścić po sześć osób. Gdyby nie owa trzciną, porozrywali by nas w kawalki, bo każdy ciągnął za odzież do swojej łodzi, a odpychał, gdy się chciało pójść za innym. Ztąd rozgardyasz nie do opisania, na którego tle raz po raz rozlegało się warczenie trzciny, potem krótkie syknięcia, w końcu wrzask obitego przewoźnika. Ten przez chwilę krzyczał z bólu, ale widząc, że mu tymczasem inny może sprzątnąć pasażera, zaczynał swe natrętne zaproszenia *da capo*.

Jeżeli chodziło o rodzajową scenę z życia wschodniego, to już ta odznaczała się nadzwyczajnym charakterem lokalnym. Wnosząc z tego „obrazka“, zaczynało się mieć przybliżone wyobrażenie, co to jest Wschód.

Kiedy poczęto schodzić do łodzi, których zbity wianek kołysał się na falach, wpadłem na pomysł, który mi się udało wykonać, a który polegał na tem; ażeby wsiąść do tej samej łódki, do której wsiądą moje Angielki. Jakoż złożyło się tak szczęśliwie, że mi się zdobył miejsce na pierwszej ławce, kiedy moje złotowłose *vis-à-vis* usiadło na drugiej, jej siostra—na trzeciej, jej matka—na czwartej, ojciec—na piątej; szóstą zajął jakiś niemłody Francuz, uderzając podobny do Dumasa (syna). Za nim stał przewoźnik, Arab. Drugi siedział na przodzie.

Po chwili wydostaliśmy się z pomiędzy innych łodzi, plusnęły wiosła, zaczęliśmy płynąć ku brzegowi, a jednocześnie zaczęliśmy się kołysać, bo choć morze było spokojne, ale mała chwiejba była nieunikniona. To dało mi powód do rozpoczęcia rozmowy, uważałem bowiem, że było by nie po *gentleńsku* przez cały czas siedzieć tyłem do mej najbliższej sąsiadki, nie mówiąc ani słowa. Powtóre zależało mi na zapoznaniu się z nią. O lepszą sposobność po temu, jak obecna przeprawa, było trudno. Jakoż odwróciwszy się do niej, nie zmieszany pytaniem spojrzeniem tej przesłizanej pary oczu, rzekłem—po francuzku—coś na temat tej przeprawy; uwaga moja, jako wynikająca z sytuacji, wywołała uprzejmą odpowiedź, i w ten sposób przełamałem pierwsze lody. Kiedyśmy, po upływie dobrego kwadransa, dopłynęli do brzegu, znajomość już była zawarta, nietylko z *mem vis-à-vis*, ale i z jej siostrą i rodzicami. Nawet i ów francuz, podobny do Aleksandra Dumasa syna, słysząc, że rozmawiamy po francuzku, przyłączył się do rozmowy. Kiedyśmy wysiedli na brzeg, już byliśmy na tej stopie znajomości, że rozumiało się samo przez się, iż Tanger będziemy oglądali razem, iż razem weźmiemy jednego przewodnika, który nas oprowadzi wszędzie.

„Zawsze to wyniesie taniej,“ zauważył wygodny ojciec mojego *vis-à-vis*, a ja nie myślałem protestować przeciwko, tej praktycznej uwadze. Była mi bardzo na rękę.

### 3) Tanger.

Jakoż stało się wszystko, jakby według programu: ledwośmy zdążyli stanąć na Afrykańskiej ziemi, od razu nawinęło się kilku przewodników, którzy nam ofiarowali swoje usługi. Ostatecznie, po dość długich targach, które prowadził ojciec moich Angielek (prawdziwy mistrz, jak się okazało, w przeprowadzaniu podobnych pertraktacji), powierzyliśmy się opiece młodego żydka w czerwonym fezie, który (żydek nie fez) z równą biegłością mówił po francuzku, jak po angielsku i arabsku, a który, za tańszą cenę, niż jego konkurenci, zdecydował się nas oprowadzić po Tangerze.

Nie namyślając się długo, ani czekając, aż wszystkie łodzie dojdą do brzegu, ruszyliśmy ku głównej bramie miasta, której maurytański łuk widniał o kilkaset kroków od portu. Szliśmy w takim porządku: w pierwszym rzędzie szły panny z matką, przewodnik i ja, tymczasem ów Francuz, podobny do Aleksandra Dumasa syna, i ojciec moich Angielek, szli za nami, obydwa z cygarami w ustach.

Jeszcześmy nie doszli do bramy, kiedy cóż się okazało? oto, iż nasz przewodnik był żydkiem z Królestwa, z Konina czy skądciś. Ledwo zaczęliśmy rozmawiać ze sobą, ledwo mię zapytał po francuzku, ztąd jadę, ledwo mu odpowiedziałem, iż jadę z Hiszpanii, ale jestem Polakiem, kiedy odrazu, o dziwo! usłyszałem dźwięk mowy rodzinnej! Nasz przewodnik mówił po polsku! „To pan jest polak! Ach, jak mi przyjemnie spotkać polaka!“ Zapytany, co go tu zapędziło, zaczął mi opowiadać—po polsku—swoje *curriculum vitae*: o tem, jak przed 10-ciu laty wyemigrował za granicę, jak potem się tułał po całym świecie, był w Paryżu, w Londynie, w Hiszpanii, w Portugalii, w końcu znalazł się w Tangerze, gdzie już mieszka od lat dwóch, jako *guide*.

Oczywiście, iż moje towarzyski były nadzwyczaj zdziwione, kiedy się dowiedziały, że pierwszy człowiek, któregośmy spotkali na Afrykańskiej ziemi, okazał się moim „ziomkiem.“ Ztąd temat do rozmowy, która, prowadzona po francuzku, coraz bardziej ożywiła się z każdą chwilą.

Tymczasem minęliśmy bramę miejską, w której ujrzelismy zdechłego szczura, leżącego w błocie, w chwili zaś, kiedyśmy minęli bramę, odrazu znaleźliśmy się w prawdziwie wschodnim mieście. Na niebrukowanej ulicy, ciągnącej się pomiędzy dwoma rzędami białych

domów o płaskich dachach, pomiędzy mnóstwem sklepików, straganów, bazarów, etc. tłoczy się mnóstwo ludzi w białych płaszczach, w zawojsach lub fezach. Kobiety w białych strojach, a prawie wszystkie z twarzami pozasłanianymi do połowy, tak, iż z nad białej gazy wyglądają, tylko oczy, niekiedy ładne, duże, czarne, okolone ogromnymi brwiami. Mężczyźni o twarzach żółtych, brodach czarnych, podobni do Żydów. Wśród tłumu pieszych, wymijających się bezładnie, a przeważnie brudnych, bosych i oberwanych, przewijają się osły i wielbłądy, obciążone pakunkami, lub niosące jeźdźców. Cała ulica zapchana, jak podczas processy.

Ludzi, ubranych po europejsku, prawie nie widać; ci zaś, których się spotyka niekiedy—choć rzadko—najczęściej jadą konno.

Jest to, jakeśmy się przekonali sami praktyczniej o wiele, aniżeli chodzić pieszo, jeżeli się zważy tłok i błoto. Ach! to błoto, którem tu całe ulice zdają się wylać! Zawsze, ile razy myślę o Wschodzie, pierwiej, aniżeli o poematach Byrona i Moore'a, którzy w tak czarownych kolorach opisywali Wschód, zaczynam myśleć o tem błocie, po którem w Tangerze brodziliśmy po kostki, a które zdaje się być najcharakterystyczniejszym ze wszystkich rysów charakterystycznych Wschodu!... Tymczasem jadąc konno, nie jest się narażonym ani na zabłocenie, ani na takie przepychanie się pomiędzy niechlujnymi Arabami, jak to my musieliśmy czynić w tej chwili, a co może się bardzo dotkliwie dać we znaki, jeśli się nie umie skakać przez olbrzymie kałuże błota i błotnistej wody (moje Angielki skakały przez te kałuże, jak sarenki), jeśli się nie znosi widoku ani zapachu cuchnących kup śmieci, jeśli się ma czułe powonienie, wzdrygające się na odór potu ludzkiego, i jeśli się doznaje nieprzyjemnego wrażenia, skoro się jest przez całą drogę zmuszonym ocierać o brudne i niewonne burnusy przechodniów, pomiędzy którymi na domiar złego jeszcze się uwija mnóstwo psów.

Ferdynand Hössick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Kronika działalności kobiecej.

— Panna Bronisława Gutmanówna, Warszawianka, ukończywszy Politechnikę w Zurychu, a raczej wydział jej przyrodniczo-pedagogiczny, otrzymała, po napisaniu rozprawy: „Ueber die Mittel der Desinfection und ihre Prüfung,“ dyplom, dający prawo do zajęcia posady nauczycielki w gimnazyjach szwajcarskich. Panna G. ma podobno zamiar poświęcić się studiom bakteriologicznym.

— W Paryżu, po obronie rozprawy: „O paleniu ciała z punktu widzenia higienicznego i historycznego,“ otrzymała stopień doktora medycyny, panna Estera Golde, z Płocka. Tamże, zdała świetnie egzamin i doktoryzowała się z odznaczeniem p. Eugenia Pozdniewicz. W Paryżu również, otrzymała stopień doktora medycyny p. Józefa Joteykówna, po przedstawieniu rozprawy: „La fatigue et la respiration élémentaire du muscle.“ Drugi to już dyplom uniwersytecki, zdobyty przez kobiety tej rodziny; pierwszy otrzymała d-r Zofia Joteyko.

— W Rzymie, uniwersytet przyznał pannie Maryi Montessori stopień doktora medycyny i chirurgii. Była ona od lat dwóch asystentką w szpitalu św. Jana Laterańskiego.

— W Warszawie ukazała się w księgarniach „Hygiena Ludowa,“ książeczka bardzo pożyteczna, opracowana przez Antoszkę, autorkę znaną doskonale i sympatycznie w sferach włósciańskich.

— Pani D-r Zofia Daszyńska, docentka Akademii Humboldt'a w Berlinie, zapowiedziała w krakowskiej czytelni dla kobiet kurs nauk filozoficznych i ekonomicznych.

— Na polu fachowego kształcenia dziewcząt rozpoczęła się w Galicyi praca poważna i obiecująca, nie tylko w miastach stołecznych ale i na prowincyi. Nie mówimy tu o wyższem wykształceniu naukowem i pedagogicznem, którego kobietom w pełni dostarczają seminaria nauczycielskie żeńskie, święcące już obecnie swój 25 letni jubileusz, lecz w przemysłowem przygotowaniu się do danego zawodu na tem polu. W Przemyślu, pani Antonina Gawrońska, otworzyła dwuletni kurs rachunkowości handlowej i języków obcych dla pań, które ukończyły nauki średnie. Nauka języków: francuzkiego, angielskiego, i niemieckiego, prowadzona w sposób ściśle praktyczny, ma na celu szybkie wydoskonalenie uczennic w poprawnem władaniu temiż, w mowie i w piśmie, co znakomicie podnieść może ich fachową wartość, jako korespondentek handlowych; zaś kurs buchhalteryi prowadzi zaszczytnie znany specjalista wyższy urzędnik przemyskiej kasy oszczędności, p. Błocki. P. Gawrońska, z domu Milkowska, otworzywszy przed rokiem w Przemyślu, pensjonat żeński, poświęciła swą wiedzę i doświadczenie nabyte za granicą, kształceniu i wychowaniu córek naszych. Ma dzielną pomocnicę w swej siostrze, pannie Hannie Milkowskiej, której szkoła rysunków i malarstwa artystycznego i przemysłowego, zdołała już sobie uzyskać najpochlebniejsze imię.

— Głowy niewieście noszące królewskie korony zaczynają wybitnie pracować w literaturze i zyskiwać wysokie uznanie. Praca Arcyksiężnej Stefanii „Lacroma“ wychodzi obecnie zaszytami w angielskim przekładzie. Również Arcyksiężna Stefania, przed odpłynięciem słynnego okrętu Nansena „Fram“, odfotografowała go sama i ta właśnie fotografia była wzorem wszystkich europejskich ilustracyi okrętu. — Księżniczka Czarnogórska Helena, obecnie żona następcy tronu włoskiego, dała się już poznać jako poetka liryczna, niemałej siły i oryginalnego, miękkiego wdzięku. Wkrótce, damy w „Bluszczu“ jedną z jej ładniejszych poezyi uczuciowych. Cesarz Austriacki udzielił królowej Rumuńskiej, Carmen Sylwie, słynnej autorce powieści i poetce, odznaki honorowe bogato w brylanty zdobne „nagrody za sztukę i wiedzę.“ Królowa jest pierwszą kobietą, która tego zaszczytu dostępuje.

— Dla kobiet pracujących na polu sztuki przybywają dwa stypendya na rok 1896—7, ogłoszone przez wydział kasyna miejskiego we Lwowie z fundacyi D-r Józ. Kaź. Malinowskiego, każde po 290 złr. dla artystek, Polek, które bądź to wykażą pokrewieństwo z fundatorem, bądź wylegitymują się wybitnymi zdolnościami i znacznym postępem w pracy, a będą pragnęły poświęcić się nadal wyłącznie sztuce.

— Zarząd liceum Wiktorii w Londynie ustanowił osobne stypendya dla nauczycielek, chcących kształcić się wyżej w obranym zawodzie. Uwolni je to od potrzeby nauczania wtedy, gdy same jeszcze uczyć się pragną.

— W Stowarzyszeniu „Frauenbildungs-Reform“ wygłosiła panna Anna Morsch zajmująca odczyt: „O kobietach jako kompozytorkach muzycznych.“ Berlińska sala konserwatorium Klindworth'a zaledwie pomieścić mogła napływ ciekawej publiczności, na której odczyt panny Morsch nader dodatnie wywarł wrażenie. Prelegentka bardzo zręcznie odpierała zarzut jakoby kobiety nie miały przyszłości twórczej na arenie muzyki, lecz ganiła bez ogródek system obecny nauczania muzyki, zasadzający się przede wszystkim na zdobyciu wielkiej techniki a zaniedbujący naukowego i teoretycznego gruntu którego często brak kobietom nawet na arty-

tycznej stojącym wyżynie. Dalej mówczyni rozbięła dzieła słynnych już dziś kompozytorek, jak—Mary Clement, Luisy Langhans, Luisy Adolffy Lebeau i Ingeborny von Bronsard. Słuchacze nie tylko dowiedzieli się krytycznego o tych talentach niewieście słowa prelegentki, lecz zarazem odczyt poparty został wykonaniem całego szeregu utworów kompozytorek o których była mowa, co niezawodnie doskonale ułatwiło poznanie ich cech indywidualnych w sztuce.

— Na ręce pani Liny Morgenstern w Berlinie, nadesłał D-r R. Janasch, w imieniu niemieckiej Komisji dla wystawy powszechnej w Brukselli w roku 1897, zaproszenie dla kobiet niemieckich do wzięcia udziału w tejże wystawie, w seceyi 13, obejmującej: nauczanie praktyczne, gospodarstwo, kobiece i humanitarne zakłady. Komisarka tej seceyi na wystawie w Brukselli jest hr. John d'Oultremont, a jej zastępcą p. Julian Davignon. Pani L. Morgenstern przyjęła na siebie utworzenie komitetu niemieckich stowarzyszeń kobiecych, aby wspólnymi siłami rzecz umożliwić i z korzyścią dokonać. Czy naszego działu na tej wystawie, w tej kobiecej seceyi nie będzie? Przypomnijmy sobie, że niedawno temu, koronki naszych przadek galicyjskich dostały w Głazgowie na wystawie robót kobiecych—złoty medal. A to duża zachęta, a uznanie—słuszne.

## Z bieżącej chwili.

— Staraniem i nakładem Towarzystwa literackiego im. Adama Mickiewicza, a pod redakcją komitetu, któremu przewodniczy i którego pracami kieruje prezes Towarzystwa prof. Roman Pilat, wyszedł obecnie we Lwowie z druku drugi w porządku wydawniczym, a pierwszy w porządku redakcyjnym tom wielkiego, zbiorowego wydania dzieł największego naszego wieszca. Już przed trzema laty, gdy opuścił prasy drukarskie III tom (w porządku redakcyjnym, a pierwszy w wydawnictwie), poważna krytyka uznała jednomyślnie, że wydanie to dzieł Mickiewicza), uskutecznione według zasad najsumienniejszej wydawniczej metody, wydanie krytyczne, zaopatrzone w najbardziej szczegółowe uwagi, co do formalnej i wewnętrznej strony wydawanych utworów ich manuskryptów, mieć będzie dla literatury o Mickiewiczu w szczególności ważne, rzecz można bez przesady i pomnikowe znaczenie. To samo przyznać należy dzisiaj, gdy mamy drugi tom w ręku. Troskliwość redakcyi, metoda wydawnicza, oraz zewnętrzne, typograficzne zalety wydania,—składają się na to że wydawnictwo może być także słusznym tytułem dumy dla Towarzystwa im. Mickiewicza. Jak wynika z zacytowanego tytułu, tom obecnie wydany zawiera drobniejsze wiersze z pierwszego okresu twórczości poety (1818—1824) r. które wydał i wstępem, świetnym zarówno, co do treści jak i formy, tudzież uwagami zaopatrzył d-r Józef Tretiak. Tom ten zaopatrzone jest w heliografurę, przedstawiającą Mickiewicza według kredkowego rysunku Walentego Wańkiewicza z r. 1823, a dodane do tomu podobizny autografu tłumaczenia „Don Carlosa“ i jednego z drobniejszych wierszy, zalecają się znakomitem wykonaniem.

— Stanisław Rzewuski napisał nowy dramat p. t. „Le fils de l'esclave,“ który zostanie odegrany na jednej ze scen paryzkich.

— Długoletni profesor prawa cywilnego na uniwersytecie warszawskim r. t. Władysław Holewiński ustępuje z zajmowanego stanowiska skutkiem nadwątlonego zdrowia. Jednocześnie zasłużony profesor ustępuje z godności prezesa departamentu cywilnego izby sądowej warszawskiej. Szkoda to wielka zarówno dla uniwersytetu naszego jak i dla sądownictwa.

— W salonie Aleksandra Krywulta w hotelu Europejskim wystawiono na krótki czas obraz olbrzymich rozmiarów słynnego malarza hiszpańskiego José Garnelo „Kryształ Kolumb.“

— Jerzy Ohnet napisał dramat historyczny p. t. „Pułkownik Roquebrune,“ który wystawiony był w tych dniach w teatrze „Porte St. Martin“ w Paryżu. Treść dramatu osnuta, jest na tle epoki napoleońskiej.

— Głośny głodomór Succu uległ obłędowi umysłowemu w Paryżu, gdzie występował w teatrze „Olympia.“ Wychodząc w tych dniach z teatru w nocy dostał nagle furji, tak że musiano go odwieźć co prędzej do szpitala wariatów.

## MYŚLI.

Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością gorąć będzie ku Niemu i braciom swoim.

Z. Krasziński.

Miłosierdzie jest drogą purpurą królów.

Tenże.

Ten żyć nie umie,—kto prawa nie rości  
Myśl wieczną wcielać.

Tenże.

Kochasz życie? w takim razie nie trwoń czasu, gdyż stanowi on właśnie materyał, z którego składa się życie.

Franklin.

Więcej światła!

Ostatnie słowa Goethego.

Wielkich bogactw nie pragnę, ani błagam o nie.  
Niech tylko mam żyć z czego, przytem czyste

[dłonie.

Teognis (poeta ateński).

Ten nie ma wolnego czasu, kto z niego nie korzysta.

George Herbert.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 5 powieści p. t. **Siostry**. Przełożyła Z. S.

**Treść:** El...y, przez Szczęsną (z portretem).—**Pogawędka**, przez ??—**W kwestyi równouprawnienia kobiet**, przez Elżę Orzeszkową.—**Na łasce**. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę.—**Na morzu**, przez Ferdynanda Hösicka.—**Kronika działalności kobiecej**.—**Z bieżącej chwili**.—**Myśli**.

**Dodatek obejmuje:** **Siostry**, powieść. Przełożyła Z. S., arkusz 5.—Przegląd mód. 45 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.